WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.

PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.

NUMER POJEDYŃCZY 20 h.

20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.

PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.

ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 22. Kraków, dnia 9. grudnia. 1900.

LEGENDA.

„Na zakręcie drogi, prowadzącej do Morskiego Oka, zatrzymuje góral podróżnych i każe nadsłuchiwać pilnie... W istocie — wsłuchawszy się — słychać niby kucie trzech młotów w wielkiem oddaleniu.. Spadek wód, odbijający się regularnie o skały, wydaje łoskot, do kucia młotów podobny!... Jest nawet, powiedziałbym, coś metalicznego w tym dźwięku. A gdy się zapyta górala: coby to było? — powiada że: „Tam — u Pięciu Stawów kują duchy koronę Polską, i cała jest już gotowa, brak jej tylko jednego kamienia, którego jeszcze nie znaleźli!“ Dziwnie rozrzewnia to podanie serce prawego Polaka i Polki. U stóp gór karpackich skupił się niejako duch polski i dochował najdoskonalszą czystość“.

(Z dziełka „Malowniczy opis Polski“).

„Polska korona jeszcze nie gotowa“, brakuje jej jednego kamienia, którego znaleść nie można. Zapewne wielkiej wartości to kamień być musi, skoro go tak trudno na jaw wydobyć z ukrycia! Widocznie dawno zaginął i ukrył się tak dobrze, że długo trzeba będzie pył wieków odgrzebywać, nim ostatecznie wydobyty z ukrycia, zdolen będzie błyszczeć w królewskiej koronie, gdy ta Polsce na głowę włożoną zostanie. Zaiste błyszczą w królewskiej koronie kamienie przeszłości, które zdobyto na polach bitew — na polu nauk — sztuki — handlu i przemysłu, a nie brak tu i niebiańskich klejnotów. Synowie tej ziemicy składali je w ofierze ojczyźnie, by ta skroń swą królewską koroną przyozdobić mogła, jako symbolem uczuć, które ożywiały dzieci, kiedy w ubieganiu się o potęgę i majestat swej matki brały udział.

A jednak brakuje jednego jeszcze klejnotu!

Widocznie nie wszyscy synowie z równą miłością do matki biegli, nie wszyscy o jej potęgę dbali, — nie wszyscy klejnoty swych uczuć w królewskiej koronie osadzić zdołali.

A jednak — a jednak — była chwila, w której zdawało się, iż klejnot zaginiony, zapomniany — już — już ma być królewskiej koronie zwrócony, — a klejnot ten miał mieć napis: „Racławice“! Tymczasem burza szalona, gromy po gromie, wichry północne przeszkodziły dzieciom umieścić kamień w koronie swej matki.

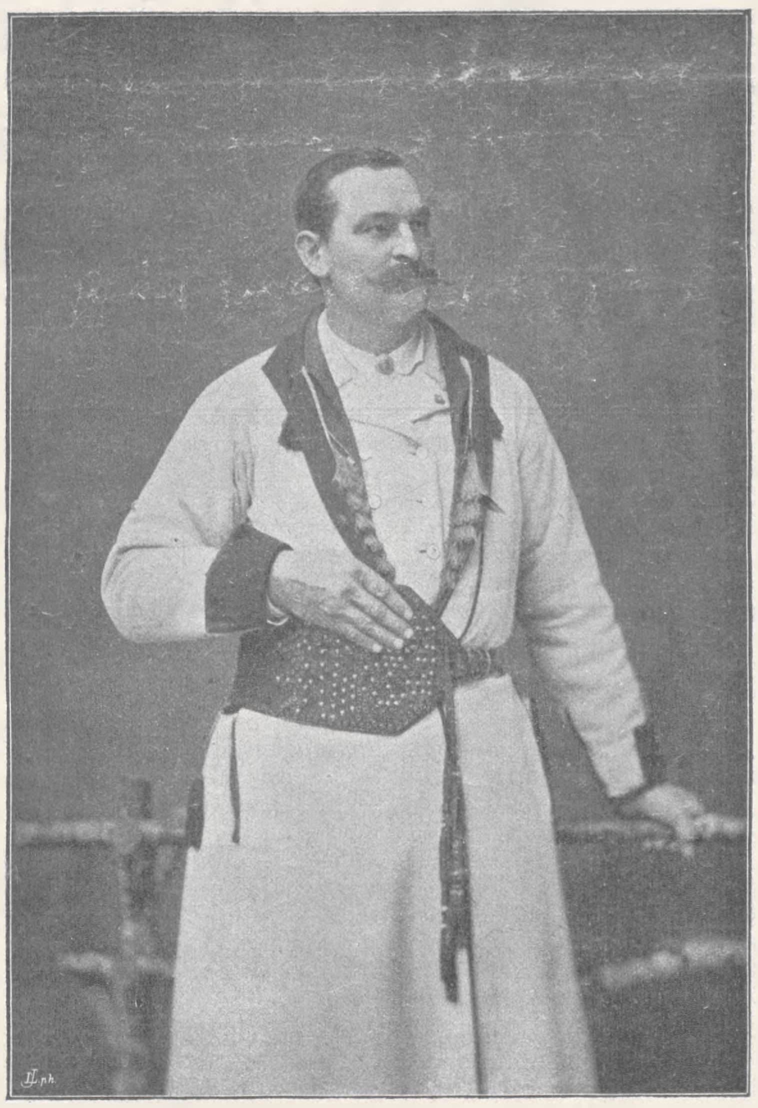
...Dziś burze minęły, a my, żałobą okryci, usuwamy gruzy, którymi klejnot ów przywalono. A komużto w udziale przypada lwia część owej pracy duchów w wyszukaniu zaginionego klejnotu? Zaiste i zaprawdę pierwszeństwo i największy trud tej pracy należy się nam, nauczycielom ludowym! Ów klejnot koronny zaginął w burzach dziejowych — zaginął, ale nie bezpowrotnie, przykrywa go bowiem gruba warstwa ciemnoty ludowej. Ręka, serce i głowa ludu mogą jedynie klejnot ów z ukrycia wydobyć i w królewskiej koronie osadzić, tak, by ta w pełni chwały błyszczeć mogła na głowie macierzy, dumnej i szczęśliwej — dumą i szczęściem swych dzieci, iż każde do szczęścia i chwały swej matki potrzebny klejnot dało.

Łączmy się zatem duchem z duchami legendy i wspólną pracą dopomóżmy ludowi w odszukaniu zaginionego klejnotu. Uczmy i oświecajmy go, budźmy w nim poczucie swej godności, swych praw obywatelskich, miłości i przywiązania do ziemi rodzinnej, oraz pełną świadomość swej jaźni narodowej. Nie upadajmy sami na duchu i nie dajmy ludowi upaść na duchu! Nie zrażajmy się pleśnią wiekową, jaka chaty siół naszych okryła, i rdzą historyi, która serce wieśniaka żreć poczęła. Naprzód! a naprzód! — a z wiarą w sercu naprzód! W mogiłach legniemy, a następcy nasi krocząc po nich, tem bliżsi będą celu... Błyskawice burz szalejących niech nie tamują pracy — ale owszem ją oświetlają!

Oświata ludu, powszechna, żywa a zdrowa, podnosząca lud z wiekowej ciemnoty i upadku, umoralniająca i uszlachetniająca, ogrzewająca serca prawdziwą miłością ojczyzny, której bronić i żywić należy, — oświata ludu, jednocząca w sobie wszystkie stany i warstwy narodu we wspólnym nierozerwanym pierścieniu siły i ideały narodowe — to klejnot ostatni w koronie matki, który odnaleść to wspólny i święty nasz cel.

Jan Wojtyga.

Kandydat narodowy krakowskiej V. kuryi.



FRANCISZEK PTAK z Bieńczyc, kandydat na posła do rady Państwa z V. kuryi krakowskiej.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

— Najpierwej, co w mieście słychać, a potem resztę.

— A więc: w mieście zwyczajnie, nudno... z nikim słowa zamienić, nikogo posłuchać, nowych ludzi nie ma; ot, przyjechał niedawno młody doktor Hobołow.

— Jeszcze przy mnie przyjechał. Cóż, chłop?

— Tak, człowiek bez kultury, okropność, wiecie przecież. Sądząc po wszystkiem, w naszych stolicach widocznie nie ma umysłowego ożywienia, bo gdyby było, toby i ludzie byli tam przyzwoici, a tymczasem zawsze przysyłają do nas takich, że wstyd o nich mówić. Biedne miasto!

— O tak, biedne miasto! — westchnął Jan Dmitricz i zaśmiał się dziwnie. — A w ogóle co? Co piszą w gazetach i tygodnikach?

W sali zrobiło się ciemno. Doktor zabierał się do wyjścia i, stojąc, zaczął opowiadać, co piszą za granicą, co w Rosyi, i jakie można zauważyć w literaturze prądy. Jan Dmitricz z uwagą słuchał i pytał, lecz nagle przypomniawszy sobie o czemś strasznem, złapał się za głowę i padł na łóżko, tyłem do doktora.

— Co wam się stało? — spytał Andrzej Efimycz.

— Wy odemnie nic więcej nie usłyszycie, ani jednego słowa! — szorstko odparł Jan Dmitricz. — Zostawcie mnie!

— Dlaczego?

— Mówię: proszę mnie zostawić! Co za dyabeł!

Andrzej Efimycz ruszył ramionami, westchnął i wyszedł. Przechodząc przez sień, powiedział:

— Możeby przewietrzyć, Nikita... strasznie ciężkie powietrze.

— Słucham wielmożnego pana.

„Jaki przyjemny młody człowiek — myślał doktor, wracając do siebie. — Przez cały przeciąg czasu, jak tu jestem, to chyba pierwszy, z którym warto porozmawiać. Umie zastanawiać się i interesuje się tem, co ciekawe“.

Czytając, a nawet kładąc się spać, ciągle rozmyślał o Janie Dmitriczu i postanowił sobie chodzić do niego przy każdej możliwej sposobności.

X.

Jan Dmitricz leżał w tej samej pozie, w jakiej go wczoraj pozostawił doktor, objąwszy głowę rękoma i podwinąwszy nogi. Twarzy nie było widać.

— Witaj, przyjacielu — powiedział Andrzej Efimycz, — pan nie śpi?

Po pierwsze, nie jestem pańskim przyjacielem, a powtóre, niepotrzebnie sięm pan interesuje, i tak już nic nie powiem.

— Szkoda — szepnął Andrzej Efimycz, zawiedziony. — Wczoraj mówiliśmy tak przyjaźnie, tymczasem pan czy czemś zostałeś dotknięty, bo nagle przerwałeś... może ja powiedziałem co niedelikatnie, może wyraziłem jaką myśl, nie zgodną z waszemi zasadami?

— Tak, przyznam się — mówił ironicznie, a oczy miał czerwone od trwogi i podrażnienia. — Możesz pan iść szpiegować i badać w drugie miejsce, tu nie masz nic do roboty. Jeszcze wczoraj zrozumiałem, dlaczego tu przyszedłeś.

— Ależ to podejrzenie znaczy, że mnie uważasz pan za szpiega.

— Tak, jestem przekonany... szpieg, czy doktor, któremu kazano mnie badać, to wszystko jedno.

— Jaki z was dziwak.

Doktor usiadł na krześle obok łóżka i litośnie pokiwał głową.

— Przypuśćmy nawet, że pan masz racyę. Przypuśćmy, że ja chwytam was za słowa, aby później wydać was policyi. Aresztują was, potem sądzą. No, ale czy w sądzie, lub więzieniu, będzie gorzej, niż tu? A jeżeli w ostateczności poślą na osiedlenie, lub nawet do ciężkich robót, to czyż tam będzie gorzej, niż w tej oficynie? Myślę, że nie, więc czegóż się boicie?

Widocznie słowa te podziałały na Jana Dmitricza, spokojnie usiadł. Była piąta po południu, pora, o której zwykle doktor spaceruje w swoim pokoju, a Daniuszka pyta, czy chce piwa? Na dworze było cicho i pogodnie.

— Ot, ja po obiedzie wyszedłem przejść się i zaszedłem tu, do was — powiedział doktor. — Cudowna wiosna!

— A jaki miesiąc teraz? Marzec? — pyta Jan Dmitricz.

— Tak, koniec marca.

— Błoto jest na dworze?

— Nie, niewielkie. W ogrodach już zielenieje.

— Przyjemnieby było teraz pojechać na spacer powozem, gdzie za miasto — mówi Jan Dmitricz, przecierając swoje czerwone i jakby zaspane oczy. — potem wrócić do domu, do ciepłego pokoju i leczyć się u jakiego dobrego doktora psychiatry... Dawno już odwykłem od ludzkiego życia... a tu nudno i okropnie głupio.

— Między ciepłym, miękkim gabinetem, a tą izbą, nie ma najmniejszej różnicy — przerwał Andrzej Efimycz. — Spokój i zadowolenie człowieka nie dookoła niego, ale wewnątrz, w nim samym się mieszczą.

— Jak to?

— Zwyczajny człowiek żąda szczęścia lub nieszczęścia z zewnątrz, np. od powozu i gabinetu, a wystarczy od samego siebie.

— Idź pan i przepowiadaj tę filozofię w Grecyi, gdzie ciepło i pomarańcze pachną, ale tu nieodpowiedni klimat dla niej. A z kim to ja mówiłem o Dyogenesie? Zdaje mi się, że z panem?

— Tak, wczoraj mówiliśmy.

Dyogenes nie pragnął ciepłego gabinetu, tam mu i bez tego było ciepło. Leżał w beczce, a jadł ananasy i winogrona. Ale każ mu pan w Rosyi (gzystować, to on nietylko w styczniu, ale w maju drapnie do ciepłego pokoju. Nie bój się, zmarzłby od zimna.

— Nie. Chłód i wogóle każdy ból można znieczulić. Marek Aureliusz powiedział: „Ból jest silne wyobrażenie tylko bólu, zbierz siłę woli, żeby zmienić pojęcie o cierpieniu, przestań odczuwać go, to ból zniknie". Czyż nie prawdziwe? Mędrzec, albo filozof, w końcu każdy człowiek myślący, odróżnia się tylko tem, że pogardza cierpieniem, a zawsze jest zadowolony i niczemu się nie dziwi.

— Wobec tego ja jestem idyotą, że cierpię i dziwię się podłości ludzkiej.

— Bo napróżno. Jeżeli będziesz pan częściej zastanawiać się, to pojmiesz, że to wszystko nicość, co nas otacza. Trzeba tylko skupić się w zrozumieniu życia samego. A w wyrozumiałości jest rzeczywiste i duchowe szczęście.

— Wyrozumiałość!... — zastanowił się Jan Dmitricz. — Wpływy zewnętrzne i wewnętrzne... przepraszam, ale tego nie rozumiem. Ja wiem tylko — ciągnął, wstając i poważnie patrząc na doktora,— że Bóg stworzył mnie krwi gorącej i nerwów, tak. A organiczna tkanka, jeżeli jest życiodajna i żyć może, powinna reagować na wszystkie odruchy. Ja reaguję. Na ból odpowiadam krzykiem i łzami, na podłość — wstrętem, na głupstwo nieuwagą. W mojem pojęciu to właściwie nazywa się życiem. Czem niższy organizm, tem mniej wrażliwy i słabiej odpowiada na wszystkie subtelności, ale czem wyższy, tem drażliwszy. Jakże tego nie pojmować? Doktor, a nie wie takiego głupstwa. Żeby znieczulić cierpienie, być zawsze zadowolonym i niczemu nie dziwić się, trzeba dojść do takiego stanu — i Jan Dmitricz wskazał na tłustego, bezmyślnego chłopa, — albo zahartować się na cierpienia do takiego stopnia, żeby zagubić odczucie ich, to znaczy, innemi słowami mówiąc, przestać żyć. Przepraszam, że to mówię, ale nie jestem ani mędrzec, ani filozof, i może ja sam o tem nie mam dokładnego pojęcia i nie powinienem sądzić.

(D. c. n.).

Tłóm. Bronisława Jeremi.

Julian Bartoszewicz

(Dokończenie.)

W dniu 8 listopada około godziny 2½ po południu, wielki tłum ludu napełnił Krakowskie Przedmieście, Aleksandryę i przyległy tej ulicy plac na Seweryno-wie, gdzie w domu Seweryna Uruskiego w skromnem mieszkaniu na I piętrze pędził ciche, pracowite życie Bartoszewicz. W tłumie tym, obejmującym około 20,000 osób, (a Warszawa wtedy była trzy razy mniej ludną niż dzisiaj), były reprezentowane wszystkie warstwy narodu. Kolega Mickiewicza, Odyniec, bawiący podówczas koło Brześcia-litewskiego, przybył spiesznie koleją już w czasie pogrzebu. Jeżeli przeważna większość zgromadzonych nie znała osobiście Bartoszewicza, który mało bardzo udzielał się ludziom, to przybyła uczcić jego naukowe zasługi, jego czysty charakter i jego można powiedzieć niezrównany patryotyzm. Rozrzewniającym był widok młodzieży szkolnej, która pomimo że przy wykładach rosyjskich nie o Polsce i dziejach polskich w szkole nie słyszała, a jednak narażając się na odpowiedzialność, opuściła gimnazya i w liczbie kilku tysięcy pospieszyła uczcić zasługi polskiego dziejopisarza. Młodzież uniwersytecka i profesorowie gimnazyalni, na barkach swoich nieśli trumnę aż do rogatek powązkowskich, przy których wzięta była za za przykładem dra Mianowskiego, rektora Szkoły Głównej, na barki sędziwych literatów i dostojników — i tak do grobu zaniesiona. Za karawanem ubogiego nauczyciela szkoły powiatowej, postępowało kilkaset powozów i karet. „Gazeta Warszawska" (z 9. listop.) pisze, że „gdy kondukt był już na ulicy Czystej, całe Krakowskie Przedmieście aż do posągu Kopernika zapełniał tłum niepoliczony czcicielów nieboszczyka".

Nad grobem ozwał się najprzód dźwięczny religijny śpiew artystów i amatorów muzyki, potem ks. Knapiński, późniejszy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w długiej przemowie wykazał stanowisko i zasługi zmarłego. Długość jego przemowy, i zapadły wieczór sprawił, że już nie mógł w imieniu literatów mówić potem Lewestam, profesor Uniwersytetu warszawskiego, który się do mowy przygotował.

„Bywają ludzie olbrzymiej pracy (pisał Tyg. Il. Nr. 150 z 1870 r.), alež siły ludzkie mają swoje granice i przychodzi chwila, w której najwytrwalszy pracownik musi użyć spoczynku. Otóż Bartoszewicz nie wypoczywał nigdy". Zastraszony przez lekarzy utratą wzroku, odpowiadał że „nauka musi mieć swoich męczenników", Czas najwięcej szacował, wiecznie mu go brakło, każdy dzień zmarnowany gotów był opłakać boleśnie wiedział że nie dosyć sił najdłuższego życia do dokończenia pracy, jaką przedsięwziął. Ogrom pracy Bartoszewicza ocenić mogli ci, którzy bliżej przypatrywali się jego działalności. Słusznie też pisał W. Szymanowski, że „zrobił to, czego całe towarzystwo, wspólnemi siłami pracujące, nie dokonałoby może. Jeden też Bartoszewicz który przeczytał: prawie całą metrykę koronną, archiwum Konsystorza i wszystkie klasztorne w Warszawie. Znał wszystko co Moskale piszą o Polsce i czytał wszystkie gazety polskie z w. XVIII i zagraniczne, które o Polsce pisały, tudzież tysiące gazet pisanych z zeszłego wieku. Dopomagała mu w tem znajomość języków: rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, włoskiego i łacińskiego, (po łacinie napisał kilka rzeczy, co nic dziwnego, bo był profesorem tego języka).

W przekonaniach swoich był surowym, żelaznym katolikiem tudzież nieubłaganym przeciwnikiem rządów despotyczno-monarchicznych i przywileju. Twierdził, iż każdy dobry katolik, jeżeli chce naśladować życie Chrystusa, musi popierać zasady wolności i równości, bo miłość chrześcijańska równa ludzi i znosi przywilej. Na rządy monarchiczno-konstytucyjne zgadzał się, ale tylko do tego czasu, w którym dojrzałe narody nie utworzą rozumnych federacyjnych rzeczypospolitych. W owych czasach wolności widział wielką przyszłość Kościoła, który wtedy będzie mógł swobodnie rozwijać się. Podnosił zawsze katolicką przeszłość Polski i jej dziejowe posłannictwo. Kościół też unicki i Ruś szczególnie umiłował. Pojęciom tym swoim przepowiadał zwycięztwo w przyszłości, chociaż na razie przez niewielu ludzi był pojmowany. Uważał je za konieczne dla każdego Polaka i dla tego tak chętnie pomimo braku czasu, przyjmował u siebie uczącą się młodzież, której zachęt, rad, i szacownych wskazówek nie oszczędził, w jej pojęcia młodociane chciał przelać swego ducha, swą olbrzymią miłość ojczyzny, swój zapał do nauki.

Sam czysty, lubił przedewszystkiem ludzi czystych na sercu i sumieniu. Kłamstwem się brzydził, żadnej myśli nigdy ukryć w sobie nie potrafił, ale ją też bez ogródek wobec przeciwnika śmiało wypowiadał.

Zdawał się być ukutym ze stali, nieugiętym w zasadach i przekonaniach. Nigdy nikogo o nic nie prosił, ani starał się dla siebie. Za nic w świecie nie ugiął czoła przed ludźmi najwyższych stanowisk, jeżeli o ich prawości nie był przekonany. Znał wartość swoją i ani tytułem ani bogactwem nikt nie wywołał na nim najmniejszego wrażenia, — ludzi płaszczących się lub chcących się jemu podchlebić nie znosił.

Syn historyka, w 12 dużych tomach wydanych w Krakowie pomieścił co najwyżej piątą część jego spuścizny naukowej. Zaledwie 60 takich tomów mogłoby objąć cały ogrom jego pracy. A takie 60 tomów, jak słusznie zauważono, to tyle co 240 średniej wielkości tomów powieściowych. Wprawdzie Kraszewski, którego słusznie nazywamy Tytanem pracy, napisał takich tomów 550 do 600, ale pisał on przez lat 59, a Bartoszewicz tylko przez lat 23 — nawet więc nadzwyczajna, legendowa płodność Kraszewskiego ustępuje prawdopodobnie pierwszeństwa płodności naszego historyka, — zwłaszcza jeżeli nie zapomnimy o tem, że każda kartka napisana przez Bartoszewicza wymagała poprzednich badań, notat z dzieł, szperania w archiwach.

A nie na tem jeszcze koniec. „Śmiało powiedzieć można — pisze uczony prof. Stanisław Smolka — że między historykami naszymi nie było, niema i nie będzie łatwo nikogo, kogoby można nazwać tak obfitą, niewyczerpaną kopalnią wiadomości, jaką był Juljan Bartoszewicz. Dotychczas utrzymuje się żywa tradycya owych słynnych jego szuflad z niezliczonymi wypisami, w których niemal zawsze znalazła się odpowiedź na najrozmaitsze pytania". Smolka wie o tem z tradycyi — myśmy ten ogrom notat widzieli na własne oczy. I znów nie będzie przesady, jeżeli powiemy, że liczba kartek w owych szufladach dochodziła do jakich 30—40 tysięcy, a jeżeli na każdej z nich było zanotowanych przeciętnie 20—30 faktów dat, cytat, wskazówek, to ilość tych notat można obliczyć blisko na miljon. I na tej podstawie znowu słusznie ktoś powiedział, że w notatach Bartoszewicza spoczywało gotowego materjału na setki tomów prac historycznych.

Gdybyśmy nie mieli do czynienia z faktami stwierdzonymi, trudno byłoby do-

„Psubraty".

Powieść na tle stosunków współczesnych

(Ciąg dalszy.)

Od jakiegoś czasu stracił książe z ocz widok Monte Carlo, i patrząc na błękitne fale zamyślił się nad przeszłością i przyszłością. Nie spodziewał się, że pociąg zatrzyma się tak prędko.

Oczami począł szukać na dworcu Janiny. Nie spodziewał się jej wprawdzie znaleść, bo nie donosił którym pociągiem przyjeżdża; nie donosił zaś dlatego, gdyż depesza która go wzywała do Monte Carlo nie podawała adresu. Ta okoliczność właśnie była źródłem jego niepokoju. „Jestem w Monte Carlo. Czekam tu na ciebie". Oto był cały tekst depeszy. W jednym z pierwszorzędnych hoteli mógł ją niezawodnie znaleść, miał jednak ochotę poinformować się pośrednio u swoich towarzyszy podróży, którzy niewątpliwie musieli wiedzieć, gdzie się z Janiną mieli spotkać.

— A więc, w sprawie hotelu... — zapytał Czarotyński nawiązując do przerwanej przy poznaniu się rozmowy — gdzie mi państwo radzicie stanąć?...

— My stajemy w hotelu de Paris — rzekła z uśmiechem baronowa Grünschild — ale jeśli panu idzie o pańskie obawy, to radzę panu wybrać hotel Bristol. Hotel istnieje od niedawna, więc małe jest prawdopodobieństwo, abyś pan zajął pokój w którymby pozostał nastrój samobójstwa...

— Doprawdy dziwię się — rzekł Czarotyński, — że panie mają tak silne nerwy. Gdybym ja był na miejscu pań, nie wahałbym się w takim razie ani chwili w wyborze i nie mieszkałbym inaczej, jak tylko w najnowszym z hoteli. Czy hotel Bristol ma jakie wady.

— Nie, doprawdy niewiem. My stajemy w hotelu de Paris, bo tam stanęła przyjaciółka, która na nas czeka.

Czarotyński wiedział już co chciał wiedzieć. W godzinę potem szukał na tablicy mieszkańców Hotelu Paryskiego nazwiska panieńskiego swojej żony. Nie znalazł go — serce mu się znowu ścisnęło niepokojem.

Zapytał o państwa Arnim Besthoff i o baronową Grünschild. Portyer odrzekł, że przyjechali przed chwilą.

— Mieli się tu spotkać z pewną damą — rzekł. Czy panu nic o tem nie wiadomo?

— Ach, to pewnie pan myśli o margrabinie Manzanares. Margrabina czekała przybycia tych państwa, wyglądała ich w bramie hotelu i jest teraz razem z nimi na pierwszem piętrze.

— Nie, odrzekł Ludwik — idzie mi o inną damę... Nie mieszka tu pani Müller von Gwiazdek?

— Nie, nie słyszałem takiego nazwiska.

Ludwik odszedł silnie zdenerwowany. Wyjął z kieszeni depeszę Janiny i odczytał ją raz jeszcze: „Jestem w Monte Carlo. Czekam tu na ciebie". Postanowił wrócić do hotelu Bristol, w którym stanął i wysłać posłańca, aby się dowiedział we wszystkich hotelach, gdzie mieszka Janina. Poszukiwania posłańca nie odniosły jednak również żadnego skutku.

Niepokój księcia Czarotyńskiego zaczął się zamieniać w rozpacz. Myśl, że Janina przegrała cały ich wspólny majątek, który mogła podnieść w jednym z banków Hamburskich bezpośrednio po wyjeździe z Ameryki, opanowywała go coraz wszechwładniej. Według umówionego planu Janina miała polecić jedynie bankowi w Hamburgu wystawienie przekazu na jeden z banków lwowskich; mogła się jednak rozmyśleć inaczej i podnieść pieniądze, aby je potroić w domu gry.

Przypuszczenie było szalone — ale prześladowało księcia coraz gwałtowniej. Był bezradny i nie wiedział co ma począć. Stał u okna z załamanemi rękami i patrzył na dziwaczną bujną roślinność, która mu się piętrzyła przed oczami.

Nagle usłyszał u drzwi lekkie pukanie. Na progu stanęła — Janina.

Radosny okrzyk wyrwał się z ust księcia. Rzucił się ku ukochanej kobiecie z wyciągniętemi ramionami.

— Niedobra — jak można mnie tak dręczyć! Ja myślałem, że zmysły postradam! — zawołał po pierwszych uściskach powitania i jął opowiadać o swoim niepokoju i swoich nierozsądnych przypuszczeniach.

— Przypuszczenia nie są tak nierozsądne, jak ci się zdaje — odpowiedziała Janina z uroczym uśmiechem. Połowę tylko naszego majątku kazałam odesłać do kraju; drugą zrealizowałam w gotówce i gram nią tutaj — szalenie.

Książe Ludwik zmarszczył się i pobladł.

— Jak mogłaś to uczynić, — rzekł — Wiesz, jakie obowiązki nałożyliśmy na siebie, jak piękne cele nami kierują... Przecież nie godzi się poświęcać pieniędzy mających takie przeznaczenie, na tak swywolną igraszkę losu... Dużo przegrałaś?...

— Cóż to? mój książe zaczyna być dusigroszem? — odpowiedziała ze śmiechem Janina siadając mężowi na kolanach. Uspokój się przebrzydły skąpcze! Nie tylko nie przegrałam ani grosza, ale codziennie poprostu rozbijam bank. Majątek nasz wzrasta w sposób tak niesłychany, że będziesz wkrótce jednym z tych nabobów, których można w Europie na palcach liczyć...

— Nie pragnę pieniędzy dla pieniędzy, ani dla ilości uciech jakie za nie kupić można, wiesz o tem dobrze... Brzydzę się tym złotem, które z tąd płynie; cięży na niem krew i przekleństwo miljonów...

— Na każdym słowie, mój drogi, cięży krew i przekleństwo — odparła Janina wzruszając ramionami i zamknęła mężowi usta pocałunkiem. — Mniejsza o to; nie chcesz, nie będę odtąd grała. To co wygrałam, wystarczy. Całe Monaco mówi dziś tylko o margrabinie Manzanares i o szalonej wenie, jaka jej sprzyja...

— Margrabina Manzanares? — cóż to znaczy? któż to jest?

— Margrabina Manzanares — to ja! Przeczuwałam, że będziesz miał coś przeciw temu, aby twoje nazwisko było złączone z rozbijaniem banku w Monte-Carlo i dlatego przybrałam obce... Zresztą nie jesteśmy jeszcze poślubieni dla świata...

— Tak, ale używałaś przecie dotąd w Ameryce swojego panieńskiego nazwiska... Dlaczegóż więc tutaj...

— Ot, poprostu sprzykrzyło mi się już to nazwisko. Zresztą ma ono w sobie polską połowę; nie chciałam aby Polka poszła na żer skandalu w domu gry... Czy ci to wystarczy? Mniejsza zresztą o to; dość, że jestem margrabiną Manzanares; Muszę jednak czemprędzej przestać nie być, bo już i tak obudzam zbyt wielką uwagę wśród przebywających tu Hiszpanów... Pragnę czemprędzej zostać księżną Czarotyńską...

(C. d. n.)

prawdy uwierzyć, że na ten ogrom pracy wystarczyły siły jednego człowieka, który zeszedł z tego świata mając zaledwie lat 49. A weźmy jeszcze i to na uwagę, że Bartoszewicz nie był w tem szczęśliwem położeniu, aby mógł się oddać wyłącznie ulubionemu zajęciu. Wiemy, że dla kawałka chleba, dla utrzymania rodziny, był nauczycielem gimnazyalnym, kustoszem Biblioteki Głównej, redaktorem przez lat 8 pisma codziennego, prócz tego dawał lekcye po pensjach i domach prywatnych, jak np. synom Zygmunta Krasińskiego. Zostałoby więc prawdziwą zagadkę, zkąd znalazł czas na to wszystko, gdyby ci, co na niego bliżej patrzyli, nie umieli jej nam wyjaśnić. Przytoczymy tu słowa jednego z nich, najprzewielebniejszego ks. biskupa Ruszkiewicza. „Nie waham się na chwilę powiedzieć — pisał ten dostojnik kościoła — że życie Bartoszewicza było niemal ofiarą całopalną, trawioną ogniem zamiłowania, powiedziałbym aż do zbytku, naszej historyi. Kto miał sposobność zbliżyć się do tej gorącej duszy, czytał jasno w całej postawie, w każdem słowie, zamiłowanie badań historycznych i niczem niedające się zachwiać żelazną pracę. Ona właściwie pochłaniała wszystkie chwile życia, prócz poświęconych koniecznym obowiązkom, wynikającym z wiary i potrzeb codziennych — i ona w końcu strawiła jego siły“.

Stanisław i Marya Leszczyńscy.

Sylwetka historyczna.

Mocarstwa, zaangażowane w wojnie o sukcesyę polską przyznały wprawdzie Stanisławowi Leszczyńskiemu w dożywociu Alzacyę i Lotaryngię, wnet jednak traktatem meudońskim odebrały mu wszelką władzę i nominalne królestwo zamieniły na prowincyę francuską. Przez lat dwadzieścia dziewięć (1737—1766) nominalny król, ojciec królowej Francyi, pocieszał się iluzoryczną koroną po utracie tak bardzo pożądanego berła Piastów i Jagielonów.

Luneville i Commercy, zamki Malgrange, Chanteleux, Einville, Jolivet stanowiły naprzemian rezydencyę ekskróla polskiego, rezydencyę, którejby mu pozazdrościł nie jeden monarcha. Wszędzie roztacza się przepych wersalski, nie brak i ponęt egzotyzmu tureckiego i komfortu angielskiego, a w olbrzymich salach setki dworzan uwija się gorączkowo koło uśmiechniętego Stanisława. Są tam i magnaci polscy i szlachta lotaryńska, zawodowi dowcipnisie i dymisyonowani filozofowie, pierwszorzędne szpady, poeci, są i kurtyzany. W obyczajach pełno kontrastów, bo wszyscy naśladują króla, który bez ustanku konferuje to ze swym kapelanem to znów z wolnomyślną „przyjaciółką“. Stanisław lubi wykwintne obiady i grube dowcipy, przy stole zdaleka słychać jego szeroki śmiech. Otacza się gronem wyfiokowanych dam i eleganckich „abbés“, rozumiejących się lepiej na aleksandrynach niż na Bossuecie i Piśmie świętem.

Cały tryb życia króla uległ zmianie. W miejsce trosk, walk i kłopotów codziennych ciągłe zabawy, anegdoty, spacery, romanse no i libacye. Stanisław zapomniał, że niedawno był odartym ze wszystkiego, opuszczonym i proskrybowanym; dziś w wygodnem mieszkaniu, rozporządzając sporą dożywotnią rentą, spensyonowany król stara się wynagrodzić sobie stracony czas. I w cichych wsiach lotaryńskich, uginających się pod ciężarem podatków, opustoszałych wskutek wojen, po polach, porosłych chwastem i zdeptanych kopytem końskiem rozlega się echo wesołych okrzyków orszaku króla polskiego, nie troszczącego się o jutro, według maksymy: Carpe diem...

A jednak codzień, rano i wieczór, co godzinę niemal dusza królewska staje się poważną a myśl ubiega daleko od kurtyzan, do Wersalu, do Fontainebleau, do Compiegne, do córki Maryi. „Tysiąc razy na dzień przenoszę się myślą ku tobie, ty jesteś jakby drugiem mojem „ja“, moje serce i umysł mój przepełnione są tobą“. Ktokolwiek zwiedził pałac lunewilski, odrazu zauważył, jakie miejsce zajmowała córka w wiotkiem napozór sercu trzpiota-króla. We wszystkich salach, na honorowem miejscu wisi jej portret. W gabinecie królewskim widzimy ją melancholijnie uśmiechniętą, w toalecie zimowej; w wielkim salonie Marya przedstawiona jest z następcą tronu na ręku, w jadalni portret jej, w toalecie balowej, znajduje się vis-à-vis miejsca królewskiego. Sypialnia Stanisława to prawdziwa galerya obrazów. Tutaj starostowie i kilku kasztelanów, tam zięć, król francuski z wnukami, dalej trochę dwie porzucone kurtyzany, Karol XII, którego protekcya tak dużo kosztowała Stanisława, Fryderyk pruski, który w Królewcu pocieszał zwyciężonego. W samym środku sali wisi prześliczny obraz, przed którym nieraz służący zastali króla roniącego rzewne łzy. W tę stronę kierował Stanisław pierwsze swe spojrzenie, w tę stronę usypiając wysyła ostatnie „dobranoc“. Marya, wszędzie Marya. „A wiesz ty o jednej mej rozkoszy, którą nigdy nie mogę się nasycić? Oto jak się mi nudzi, siadam samotnie przed twoim ślicznym portretem i godzinami nie myślę o czem innem tylko o tobie. Zdaje mi się nieraz, że ty wszystko słyszysz, co mówię do twej podobizny“.

Królowa Francyi słyszała. Rzadko kiedy marzenia jej ulatywały w inną stronę niż Luneville'u. O swoim ojcu rozmawiała ciągle w szczupłem gronie swych przyjaciół, o nim ze swym „prezydentem“, wiernym Hénaultem, o nim z panią de Villars, z Moncrifem i innymi. U księżnej de Luynes, Marya siedząc całymi wieczorami przy kominku, przetyka złotem ornat, przeznaczony dla kapelana Stanisława, albo też haftuje poduszkę dla samego Stanisława. Bez ustanku wysyła mu prezenty; raz kwiaty z bukietu, to znów jakie biżuterye, albo owoce południowe. „Tysiąckrotnie dziękuję ci za ananas, który mi przysłałaś, rzuciłem się zaraz na ten kąsek, który nadgryzłaś malutkimi ząbkami. Smakował mi wyśmienicie, ale byłby znacznie lepszy, gdybyśmy go jedli razem“.

Skoro tylko Marya dowiedziała się o przybyciu dworzanina lotaryńskiego, wołała go zaraz do siebie i wypytywała troskliwie o zdrowie ojca. Trzy razy tygodniowo pisywała mu listy i trzy razy nie posiadała się z radości, otwierając odpowiedź. „Otrzymałam list od mojego ojca, który ma się dobrze dzięki Bogu!“ „Otrzymałem twoje dwa listy“ pisze Stanisław „i całuję drobniutką rączkę, która zadała sobie trud napisania ich“. Najmniejsze opóźnienie powodowało zaraz wielki niepokój. „Zmuszony położyć się do łóżka, nie otrzymawszy twojego listu, spać będę na cierniach“, pisze król polski. Wszystkie korespondencye roją się od pieszczotliwych wyrazów polskich, przeplatających stale francuzczyznę. Stanisław jest dla Maryi „poczciwym tatusiem“, grubym tateczkiem“, „złotym tatuniem“. „Serdecznie kochany tatuniu!“ oto stereotypowy inicyał listu. Formuła „król, mój ojciec“ wydaje się jej zbyt ceremonialną i nawet z cudzoziemcami mówi tylko o „swoim tatuniu“. Tak samo Stanisław. Aczkolwiek wobec dworzan musi córkę nazywać królową Francyi, to w samotności staje się ona odrazu jego Maryą, „Maruchną“, „Maryneczką“, „Mareczką“ i t. d. „Moja duszyczko“, „moja kochaneczko“, oto początek każdego listu, każdego niemal zdania.

A potem omawiają oboje ostatnie zdarzenia, Matka i dziadek rozmawiają o swoich dzieciach i wnukach. Dumny z Delfina, Stanisław ubolewa na małemi nieszczęściami królewien burbońskich. To panna Zosia, tnąc tabliczkę czekolady skaleczyła się w udo, to znów książątko Burgundyi zachorowało na nogę, to znowu „kolka kochanej Wiktoryi“ lub „niestrawność księcia Prowansyi“ przyszłego Ludwika XVIII, odbiera sen Stanisławowi. Choroby i lekarstwa przepełniają te listy. Było to zresztą w modzie XVIII. wieku. Epoka ta, wyrafinowana non plus ultra, w szczegółach była często zbyt realistyczną. Marya Leszczyńska miała duszę mieszczańską. Wywody medyczne i apteczne stanowiły dla niej wielką przyjemność. Niektóre z jej listów do prezydenta Hénault i do pani de Luynes są tego rodzaju, że dziś pokojówka wstydziłaby się podpisać pod nimi swoje nazwisko. Cóż dopiero mówić o korespondencyi między ojcem a córką! Wszystko można przebaczyć temu królowi, który codzień prosi Boga, „żeby zdrowie ukochanej Mareczki równało się czułości, z jaką jej przesyła uściski“. — „Na Boga cię proszę, dbaj o swe zdrowie, bo tylko na niem zależy mi w życiu“. Równorzędnie z Leszczyńskimi korespondują obaj przyboczni ich lekarze Lassone i Rynów, dowiadując się wzajemnie o zdrowiu swych panów. Spowiednicy, jezuici, dopełniają kompletu.

Katary i reumatyzmy dręczą królowę Francyi całą zimę, zato Stanisław, starszy wiekiem, cieszy się doskonałym stanem zdrowia. Co najwięcej — kaszle czasami. Nieszczęście jednak chce, że król ma kolosalny apetyt, lepszy nierównie od takiego żarłoka jak Ludwik XV. Do tego dodać należy dziwaczne „menus“, układane przez samego Stanisława. „Mój tatuś miał znów niestrawność, pisze Marya do Hénaulta. Dzięki Bogu wszystko już skończone. Zjadł kawał melona, ogórki, leguminę i poziomki“. Rezultat taki nie następował jednak rzadko. Czasami zdawało się królowi po obiedzie, że skona. Wtedy kuryer za kuryerem biegali między Wersalem a Luneville; kończyło się wiecznie na tem, że Stanisław „słowem dobrego tatunia“ ręczył, że na przyszłość będzie wstrzemięźliwszym.

Sezon puszczania krwi, epoka brania na poty, na przeczyszczenie, na post, nie mijały nigdy, żeby z obydwóch stron nie zasypano się nawzajem stosem listów o treści medycznej. Molierowski Purgon jest karykaturą wobec tych wynurzeń ojca i córki....

Co roku Stanisław spotykał się ze swoją córką we Wersalu. Z początku spotkania te miały miejsce stósownie do okoliczności, najczęściej na wiosnę. Później przyzwyczajono się do stałych rendez-vous w lecie. Zawsze między 15 sierpnia a 8 września Stanisław rozkoszował się widokiem królowej Francyi. Dzień Wniebowzięcia spędzał jeszcze w Lotaryngii, na Narodzenie Matki Boskiej wracał, aby odprawić coroczne modły przed jej obrazem w Nancy.

Zaledwie nadszedł Nowy Rok, król cieszył się, że znowu chwila upragniona niedaleka. Około tego dnia grupowały się nadzieje na przyszłość i melancholia za przeszłością. „Sześć miesięcy, pisze do córki, tęsknię za chwilą, kiedy cię zobaczę, a drugie sześć miesięcy żałuję, że się z tobą rozstałem“. „Nie jestem młody, ale chętnie chciałbym być starszym o trzy miesiące, żeby się odmłodnić twoim widokiem“.

Kilka jeszcze tygodni dzieli króla od chwili wyjazdu. Myśl o bliskiem szczęściu podnieca jego umysł i humor, Stanisław wlewa życie w ospały i gnuśny dwór, widać po nim jakieś radosne rozgorączkowanie. Małymi etapami król podąża ku sercu Francyi, wyrachowawszy dokładnie dzień i godzinę, kiedy ujmie w swoje ramiona uszczęśliwionę królową Francyi. Królowi towarzyszy zaledwie kilka osób: kuzyn jego Ossoliński, wielki mistrz dworu, de Thianges, wielki łowczy królewski, kilku szambelanów, oficer gwardyi, jezuita, czasem kanclerz la Galaisiere i p. de Lucé. „Magazyn kuchenny“, złożony z dwóch olbrzymich wozów, wyprzedzał zawsze króla, choć zresztą można się było bezeń obejść, bo w drodze przyjaciele i dworzanie Leszczyńskiego współubiegali się o zaszczyt przyjęcia w swym domu króla. Pierwszy etap urządzano w Malgrange, drugi w Commercy, potem podróż odbywa slę w coraz spieszniejszem tempie. Nieraz wyznaczono na wyjazd godzinę ósmą; król budzi się o piątej i każe zaprzęgać. Naturalnie śniadanie nie może być już gotowe. Mniejsza z tem, „niech podają, czy się mięso usmażyło czy nie“.

Na ziemi francuskiej liczba etapów się zwiększa. W Sarry zwykł był Stanisław spędzać jedną noc w wilii biskupa z Chalons, w Lusancy u marszałka de Bercheny. Biskup z Meaux byłby się obraził, gdyby król nie zatrzymał się w jego zamku Germiny, ks. de Ravanne przyjmował Leszczyńskiego w Villeneuve. W Saint-Ouen książe de Gevres przygotował mu wspaniałe przyjęcie, w Athis podejmowała go piękna panna de Charolais. Bankier Montmartel zatrzymywał króla w Brunoy lub w Bercy, chyba że Leszczyński zaszczycił tym razem brata jego Duverney'a w Mont-Saint-Pierre. W Paryżu znów księżna de Talmont, marszałek de Belle-Isle, markiza Mauconseil, Katarzyna Opalińska nie byłyby darowały Stanisławowi, gdyby był pominął ich pałace, świetnie przystrojone na jego przyjazd.

Coprawda nikt nie jest pewnym wizyty królewskiej. Stanisław nikomu nie szczędzi niespodzianek. Nie spodziewają się go, a on tu; zapowiedział, że ze smutkiem musi zrezygnować z przygotowanego mu przyjęcia, wszyscy zmartwieni przyjmują to do wiadomości, aż tu wpada podtatusiały eks-król polski, śmiejąc się do rozpuku. Niespodzianek nie szczędzi nawet córce. Przez kilka lat przybywał zawsze o jeden lub dwa dni wcześniej niż się go spodziewano, później jednak królowa wysyłała naprzeciw niego tylu gońców, że siurpryza stała się niemożliwą. Stanisław musiał zgodzić się na oficyalne przyjęcie. Karety dworskie wyjeżdżały kilka mil naprzeciw, mobilizowano gwardyę francuską i szwajcarską, w drodze witał króla dygnitarz dworu, w Wersalu książe krwi, przed zamkiem Delfin albo inny jego wnuk. W r. 1763 księżne Adelaida i Wiktorya wyjechały aż do Paryża naprzeciw swojego dziadka. Od chwili przestąpienia progów Trianonu zaczynały się dla Stanisława rozkoszne chwile...

(Dok. nast.)

Z wojny chińskiej.



Książe Czing jedzie do Pekinu traktować o pokój.

Dzieje Polski illustrowane.

I.

(„Dzieje Polski ilustrowane“, napisał profesor Dr. August Sokołowski. — Tom pierwszy. Epoka Piastowska. Warszawa. Drukiem Wieku. 1900.)

Pamiętam czasy, gdy wydanie historyi polskiej ilustrowanej uważano za przedsięwzięcie nietylko nader kosztowne i z wielu trudnościami technicznemi połączone, lecz zarazem z artystycznych względów całkiem niemal niemożliwe. Wprawdzie posiadaliśmy malarzy (Smuglewicza, Lessera, Gersona, Kossaka, Eljasza), obdarzonych bujną wyobraźnią, którzy pierwsze momenty dziejów rodzimych odtworzyli i odtwarzali (jak się to mówi w pracowniach) „z pamięci“, studya jednak archeologiczne nad pomnikami, ubiorami, uzbrojeniem i dziełami sztuki w Polsce wyczerpywały zaledwie płytką powierzchnię rzeczy powszechnie znanych, badania nie sięgały w głąb bogatych pokładów zabytkowych i nie oświecały ich analizą naukową, więc nie dostarczały należytego materyału, z któregoby ukształtować się dały wierne, plastyczne obrazy przeszłości w jej zespole cywilizacyjno-rozwojowym. Dopiero w ciągu ostatnich lat trzydziestu pilne prace samych artystów, oraz kilku uczonych, wydobyły na jaw tyle ciekawych pamiątek, tyle wymownych dokumentów i źródeł, dokonały już wreszcie na podstawie owych sumiennych badań tylu szczęśliwych rekonstrukcyj, że nie dziwimy się wcale, iż znalazł się człowiek, który pokusił się wyniki wspomnianych usiłowań ująć i zespolić w wydawnictwie, przedstawiającem mniej więcej zaokrągloną całość. Chociaż mniemam, że i dziś jeszcze stoimy dopiero u brzegu morza odkryć, jakie w tym względzie lata późniejsze przyniosą, poczytać mu jednak powinienem to, co uczynił, za wielką, rzeczywistą zasługę. Zgromadzone przez niego w „Dziejach Polski ilustrowanych“ reprodukcye zabytków i utworów artystycznej intuicyi lub imaginacyi, nie stracą nigdy historycznej wartości, i pozostaną świadectwem zasobów wiedzy, tudzież postępu sztuki naszej w XIX stuleciu. Sądzę nawet, że bardzo długo służyć będą za skarbnicę, z której przyszłe pokolenia czerpać muszą.

Nie zamierzam w dzisiejszem mojem sprawozdaniu omawiać treści dzieła, zaznaczam więc tylko, że opracowane na podstawie najnowszych badań historycznych, pisane jasno i przejrzyście, stanowi jeden z najlepszych podręczników do dziejów naszych. Za to całą uwagę zwracam głównie na ilustracye, na ich charakter i cechy, one bowiem nadają trzem dotąd wydanym tomom doniosłość niezwykłą. Już przed wynalezieniem czcionkowego druku rozumiano dobrze, jak wielkie znaczenie posiada rysunek (drzeworyt), tekst uzupełniający. Dziś ilustracye stały się poniekąd koniecznością w każdej publikacyi naukowej. Bez nich czytelnik nie mógłby nieraz zdać sobie sprawy z myśli i znaczenia, choćby najprzystępniejszego wykładu. W historyi zaś, o ile uwydatniają przebieg kultury narodowej, wrażają w umysły to, czem dzieje najpiękniej jaśnieją. Wydawca widocznie podzielał wyrażone wyżej przekonanie, i dlatego przyozdobił dzieło cennymi zabytkami przeszłości. Lwia część w niej, przypada w udziale budownictwu, a w niem świątyniom i zamkom, aczkolwiek nie brak domów mieszczańskich, a nawet Kazimierzowskich składów zbożowych, świadczących o rozwoju handlu w drugiej połowie XIV wieku. Wszystkie budowle odtworzone są umiejętnie przy pomocy pędzla, ołówka i fotografii, niektóre (według wiarogodnych dokumentów) w stanie pierwotnym, większość w dzisiejszym. Wprawdzie ostatnie nie dają pojęcia jakiemi istotnie były niegdyś, w epoce piastowskiej, z ogólnych przecież ich zarysów można w przybliżeniu wyobrazić sobie kształty i znamiona stylowe, posiadane przez nie w chwili ich powstawania, zwłaszcza, gdy objaśnimy je porównaniem z temi, które zdołały przetrwać prawie nietknięte w ciągu wieków, albo przynajmniej mało poszarpane zębem czasu. Najtrudniej odnajdujemy nieraz kształty pierwsze w gmachach najwspanialszych i najpiękniejszych, wznoszących się w większych środowiskach życia narodowego, na nich bowiem smak każdego niemal stulecia kładł odmienną, wewnętrzną, lub zewnętrzną szatę. Te jednak najciekawiej może dokumentują prąd fal cywilizacyjnych, pędzących po sobie biegiem mijających lat, dowodzą zarazem, że wszystkie kulturalne wyobrażenia, pojęcia i idee zachodniego świata, słabszem lub silniejszem odbiciem wyciskały się na intelektualnem naszem istnieniu. Niekiedy — dość rzadko niestety — dokonane przez nas odkrycia i wytworzone wśród nas kierunki w nauce i sztuce promieniowały w stronę zachodu, wszystkie jednak światła, jakie zachód rozniecał, szybko dostawały się do Polski, ogrzewając nas wspólnem ciepłem jednorodnego postępu.

Z powodu gmachów, odtworzonych udatnie w „Dziejach Polski ilustrowanych“, a między niemi pełnej uroku i lekkości architektonicznej fortyfikacyi, zasłaniającej w Krakowie bramę Floryańską, nasuwa mi się mimowoli pytanie. Ten, który w pięknej książce objaśniał ryciny podpisami, nazwał ją dwukrotnie „rotundą“, tak przy podobiźnie pierwotnego jej stanu, jak i obecnego. Wyraz uwydatnia wprawdzie dosadnie i wiernie okrągły, wewnętrzny i zewnętrzny kształt budowy, nie określa jednak jej obronno-militarnego charakteru. Dlaczegoby tu nie zastosować techniczno-wojskowego miana „barbakan“ (po francusku *la barbacane*), które w średnich wiekach, a nawet znacznie później, nosiły takie przedbramne i przedmostowe forty-strzelnicze? Nazwa jest obcą, niezawodnie; ale „rotunda“, a także pospolicie przez lud krakowski używany „rondel“ nie są również swojskiemi. Nie czynię stąd zarzutu wydawcy, bynajmniej, tylko przypuszczam, że dzieło z tak niezwykłą sumiennością przez niego edytowane, mogłoby pokusić się o spopularyzowanie specyalnej nomenklatury, ściśle oznaczającej celowość konstrukcyi. Wyraz jasno tłómaczy istotę przedmiotu, a to przecież rzecz nie do pogardzenia!

Zamach na cesarza Wilhelma.



Obłąkana Selma Schnapke rzuca siekierą w kierunku cesarskiego powozu.

Ale wróćmy do rycin. Książka, na każdej swej karcie zapełniona paru, lub kilku ilustracyami, daje prócz świątyń i zamków, kamienic i magazynów, ich ruin, wieżyc i baszt pozostałych, mnóstwo reprodukcyj: wykopalisk przedchrześciańskich, pomników grobowych, posągów, płaskorzeźb, relikwiarzy i trumien świętych patronów, klejnotów, chrzcielnic, ornatów, kielichów i czar kościelnych, drzwi, okien i portalów, sprzętów dawnych, zbroi i mieczów historycznych, widoków i planów miast, monet najstarszych, pieczęci, witraży, malowideł ściennych, aktów autograficznie odtworzonych i rękopisów, strojów, uzbrojeń i rynsztunków, obrazów przedstawiających bitwy, wielkie czyny i uroczystości, wreszcie portretów duchownych i świeckich dostojników, oraz książąt i królów. W tych ostatnich, ma się rozumieć, dominuje całą siłą swego olbrzymiego talentu i twórczej, pełnej zamiłowania się w przeszłości pracy, pędzel i ołówek Jana Matejki. Wiele i nieraz mówiono już i pisano o wizerunkach historycznych nieśmiertelnego, chociaż przedwcześnie zgasłego artysty. Zarzucano im fantastyczność. Bez zaprzeczenia, rysowani przez mistrza książęta i królowie polscy, przy odtwarzaniu których nie miał on odpowiednich dokumentów (pieczęci, monet i płyt, lub rzeźb nagrobkowych) są dziełami wyobraźni, ale wyobraźnia jego, wyszkolona w ciągłem brataniu się z tematami dziejowemi, nie rozmijała się nigdy tak bezwzględnie z prawdopodobieństwem, jak rozmijały się z niem kreacye (prócz Juliusza Kossaka) jego poprzedników, czynnych na temże samem polu działalności. Przedewszystkiem (w Piastach szczególnie) zachowuje on pewne atawistyczno-dynastyczne podobieństwo rysów między bliskimi krewnymi. Ztąd, jeśli przypadkiem w wizerunku nie ma istotnie tegoż samego człowieka, jest zato przynajmniej jego rasa. A nadto (co uważam za najważniejsze), dzięki przesiąkniętej głębokiem uczuciem twórczości malarza, dzieło jego ożywione się zdaje duszą i charakterem danej osoby. Zresztą czyż nawet pieczęcie i nagrobki współczesne przechowały nam zupełne podobieństwo ludzi średniowiecznych? Zaprawdę nie. Wszystkie, nie wyłączając pomników z końca XIV wieku) stylizowane są w smaku epoki, wszystkie, najważniejsze nawet, poświęcają wierność dla wzniosłości, lub idealności tematu; znaczna zaś ich część daje przewagę ornamentacyi nad figurą, pragnie bowiem symbolicznie lub allegorycznie wyrazić myśl, której my niestety już nie rozumiemy. Rytowane i modelowane nie z natury, lecz z pamięci, są prędzej wyrazem aspiracyj, lub uprzedzeń artysty, niż ściśle wykonanemi kopiami, według żywych oryginałów. Wobec takich pierwowzorów, kulturalnie (a nawet w malowniczem znaczeniu) nader interesujących, lecz bardzo mało dokumentalnych, nie podobna się dziwić, że i portrety Matejki nie błyszczą niekiedy może fizycznem podobieństwem. Jaśnieją jednak podobieństwem ducha, odczutego płomienną intuicyą ich twórcy. Poeta dramatyczny i powieściopisarz, idąc w ślad za nim, nie pomylił się bardzo, gdy do swych utworów wprowadzi postacie królów i książąt, pojętych w Matejkowskim charakterze.

Wydawca „Dziejów Polski ilustrowanych“ słusznie uczynił, opierając przeważnie artystyczną stronę publikacyi na jego rysunkach i malowidłach, zwłaszcza, że uzupełnił je doskonale realistycznem tłem zabytków, pomników i pamiątek, po raz pierwszy tak skrzętnie i właściwie zgromadzonych razem. To tło wygłasza wymownie historyę naszej starej, za Piastów rodzącej się i pomimo niesprzyjających okoliczności, względnie prędko wzrastającej cywilizacyi, książce zaś, do której powrócę raz jeszcze w następnem mem sprawozdaniu — zapewnie musi długie, trwałe i zasłużone powodzenie.

Zygmunt Sarnecki.

Z pogadanek o teatrze.

„Sobótka“ sztuka w 4-ch aktach Hermana Sudermana, odegrana po raz pierwszy w teatrze krakowskim 25. listopada 1900 r.

„Te czerwono płonące ognie sobótek są przypomnieniem naszych utraconych marzeń i cierpień, które przelatują mimo nas jak tajemnicze czerwone ptaki, które trzeba chwytać odrazu, bez namysłu, i trzymać je mocno, bo inaczej ulecą na

zawsze. Widok tych ogni budzi w nas pierwotnego człowieka, pogański kult dla tajemnicy życia i t. d.“

„W duszy każdego człowieka jest melodya, którą on sam jeden tylko słyszy i rozumie. Ludzie mówią o nim: jest taki lub inny, ale czem jest w istocie nie wiedzą nigdy, bo nie słyszą i słyszeć nie mogą melodyi jego duszy“.

W tych mniej więcej słowach wyraża autor ideę sztuki pięknej i silnej, złożonej z momentów dramatycznych nie nowych, ujętych w formę dobrze już znaną, ale związanej z żywych ogniw ludzkich uczuć, cierpień, walk, nadziei, przeznaczeń, tchnącej prawdą i szczerością, która zawsze i wszędzie zdobywa serca i podbija umysły, zwłaszcza w epoce namiętnej pogoni za efektownymi nastrojami, „kleconymi“ często bez wiary i bez przekonania.

To też sobotni wieczór był jedną z chwil uroczystych dla słuchaczy, tak jak uroczystym był dla artystów samych, którzy grali z niezwykłym pietyzmem i w szczerem przejęciu się tą prawdą, którą głosić im kazał potężny talent autora. W domu zamożnego obywatela ziemskiego na Pomorzu Vogelreutera (Zawadzki) wychowuje się dzieweczka Maryjka zwana „gosposią“ (Morska), która pod dachem dobrych ludzi, Vogelreutera i jego żony (Wolska) znalazła ciepło rodzinnego ogniska. Dzieweczkę jako niemowlę uratowali ludzie przed przejechaniem, przynieśli do dworu, gdzie już pozostała. Pochodzenie jej ciemne; jest córką znanej w okolicy włóczęgi i pijaczki, której strzegą się ludzie bo kradnie wszystko co tylko ukraść można.

W tym samym domu wychowuje się siostrzeniec Vogelreutera Jerzy, (Mielewski), z chwilą rozpoczęcia sztuki dorosły już mężczyzna, narzeczony panny Vogelreuter (Czechowska), w myśl dawnego planu jej rodziców i zmarłego już ojca Jerzego. Z rozmowy między Jerzym a Vogelreuterem dowiadujemy się, że ojciec Jerzego miał przeszłość burzliwą, że umierając zostawił długi, które popłacił Vogelreuter, że Jerzy o tem wie, i że mu cięży stosunek do wuja, którego musi uważać za swego dobroczyńcę, a wdzięczność względem niego, za swój obowiązek.

Narzeczona Jerzego, Truda, jest młodziutkiem nieprzebudzonem jeszcze dziewczątkiem, znacznie młodszem od „gosposi“; kocha swego narzeczonego całą potęgą swojej naiwności i nieświadomości, ponieważ wie, że już tak z góry ułożono, iż Jerzy zostanie jej mężem.



Ks. Szeptycki nowomianowany metropolita lwowski.

Ale między Jerzym, a znajdą — Maryjką, wtedy, kiedy jeszcze Truda była dzieckiem, zadzierżgnął się serdeczny węzeł miłości dwojga serc, które mimo wszystko czuły się w tym domu obce i osamotnione. Jerzy pisywał nawet do Maryjki, były też między nimi chwile gwałtownych porywów, które dawno by uniosły oboje w wir zupełnego zapomnienia się, gdyby nie instynktowny opór Maryjki, czy też hamowana idealnem uczuciem, powściągliwość Jerzego.

O tem wszystkiem dowiadujemy się z ust działających osób, to poprzedza sztukę.

Obadwa kochające serca rozdziela jednak przeznaczenie: poczucie obowiązku wdzięczności względem Vogelreuterów, nie pozwala Jerzemu iść za głosem przywiązania do Maryjki, skoro wujostwo cieszą się myślą, że Truda, ich córka, zostanie jego żoną, ten sam głos obowiązku nakazuje także milczenie sercu Maryjki, którą Truda obdarza serdecznem, siostrzanem przywiązaniem. Prócz tego Maryjka dowiaduje się kto jest jej matką, obudza się w niej duma dusz upośledzonych. Ona nie może przecież marzyć o tem, aby kiedykolwiek mogła należeć do pana Jerzego von Hartwig...

Sztuka rozpoczyna się w przededniu ślubu Jerzego i Trudy. Ślub ten ma się odbyć w dzień św. Jana lub w kilka dni po nim. Zrozumiałem jest, że w sercach Maryjki i Jerzego w tej stanowczej chwili budzą się tęsknoty i żale, jakaś niewyraźna chęć zerwania pęt i powrotu do tego, co jest ich własnem prawem i przekonaniem. Trwa walka między ich pragnieniami a rzeczywistością. Maryjka czuje się opuszczoną. W tej stanowczej chwili powraca się jej myśl ku matce-żebraczce. Wszak ona nigdy nie zaznała ciepła macierzyńskiego serca! Teraz jej go potrzeba, w tej chwili, gdy ma pogrzebać marzenia swego życia na zawsze.

Na usilne jej prośby Jerzy sprowadza do dworu znaną żebraczkę-złodziejkę, matkę Maryjki (Senowska). Następuje scena wstrząsająca. Maryjka z lękiem i grozą, nie przemówiwszy ani słowa, słucha bezmyślnej paplaniny upadłej, spodlonej kobiety, z którą ją żaden moralny nie łączy węzeł, wreszcie spostrzega, że jej matka kradnie bieliznę z otwartego kosza. Żebraczka wychodzi i w tej chwili zrywa się raz na zawsze wszelka myśl nawet, łącząca te dwie kobiety. Maryjka czuje się samą, opuszczoną, ukochany przez nią człowiek zaślubia inną; wprawdzie młody pomocnik pastora (Sosnowski) kocha Maryjkę szczerą, serdeczną miłością przeciętnego człowieka, ale ona tego uczucia nie podziela.

Scena z matką-żebraczką nakreślona jest po mistrzowsku. Niebezpieczeństwo melodramatu było tak bliskie, że każdej chwili ogarniał widza lęk, żeby szablon i powszedniość nie wdarły się w poważną, głęboką nastrojoną akcyę sztuki. Autor nie zawiódł nas, Maryjce nie pozwolił wyrzec jednego słowa; kazał jej tylko milczeć, drżeć i tłumić łzy... To jest wielkie, prawdziwie artystyczne! Nadchodzi noc świętojańska... odbywa się obchód sobótek, na górach płoną ognie. Rodzina Vogelreuterów obchodzi ten tradycyjny wieczór zebrana przy stole; jest także młody pastor i Maryjka. Wedle zwyczaju Jerzy wygłasza pogańską mowę; zapał go unosi, skarży się na życie, które wydziera marzenia niepowrotnie, mówi o czerwonych, ognistych ptakach marzeń, co przelatują mimo nas i odlatują na zawsze, jeżeli się ich odrazu nie pochwyci i mocno oburącz nie zatrzyma.

Maryjka go zrozumiała. Ma tej nocy odjechać za sprawunkami do Królewca. Stary Vogelreuter poleca Jerzemu, aby ją odprowadził na kolej. Wszyscy poszli spać — tylko oni sami zostali. Wśród ciszy nocnej, w przededniu pogrzebania nadziei życia, i w ich duszach zapalają się sobótki, budzą się czerwone ptaki marzeń, które raz w życiu nawiedzają ludzi, aby odlecieć na zawsze, jeżeli się ich bodaj na chwilę nie uchwyci... Młodzi padają sobie w objęcia, ogarnia ich szał zmysłów, zapominają o pociągu, zresztą drugi pociąg odchodzi w cztery godziny później...

Z wojny chińskiej.



Parlamentarz chiński w obozie armii międzynarodowej.

Maryjka oddaje się Jerzemu, po raz pierwszy i ostatni w życiu... „Moja matka jest złodziejką, mówi później Maryjka w bólu, więc i ja jestem złodziejką, ona kradnie i ja także kradnę ot, cudze szczęście.... Ukradłam je, oto wszystko co mogłam uczynić dla siebie“.

Po nocy świętojańskiej, Jerzy jest przygnębiony, Maryjka spokojna. On chce w ostatniej chwili zrzucić pęta, wyznać wszystko Vogelreuterowi i połączyć się z Maryjką... Już mają oboje wypowiedzieć prawdę staremu, ale rzeczywistość przemaga ich: Jerzego obezsila naiwne przywiązanie jego narzeczonej, Maryjkę lęk przed niewdzięcznością dla tego domu, który jest jakby jej rodzinnym domem a oboje niepewność, czy w życiu powszednim, zdobytem ofiarami, które za sobą pozostawią, znajdą choć cień takiego szczęścia, jakiego doznali wtedy, gdy w ich duszach zapłonęły... czerwone ognie sobótek.

Jerzy idzie do ślubu z Trudą... Maryjka zostaje... sama, ale z brzmiącą na zawsze w jej duszy melodyą, której już nikt nigdy nie podsłucha, ani nie zrozumie prócz niej samej, melodyą pełną smutku i żalu, i skargi na brutalność losów i bezlitość przeznaczeń, rzucających wątłą duszą samotnej dziewczyny, jak wicher przedwcześnie zdartym liściem.

„Sobótce“ możnaby uczynić zarzut, że tu i owdzie akcya zatrzymuje się dla przewlekłego dyalogu. Ale brak ten wynagradza bogactwo myśli, polot i poezya, wiejące każdego zdania.

Artyści grali koncertowo. Pani Morska sama chyba najlepiej czuje, że żadne słowa pochwały nie starczą na określenie doskonałości jej gry. Pani Senowska stworzyła klasyczny typ upadłej żebraczki, prawdziwe arcydzieło, i wysunęła swoją epizodyczną rolę na plan pierwszy. Pna Czechowska ze zrozumieniem, zdradzającem budzący się talent, zagrała Trudę. Pan Zawadzki przewybornie uchwycił typ starego obywatela i dał postaci tej indywidualną interpretacyę przez lekkie zabarwienie jej temperamentem polskiego szlachcica, co było zupełnie na miejscu, ze względu na to, że na Pomorzu błąka się do dziś krew polska w zniemczałych już niestety szlacheckich rodzinach. Pan Mielewski z głęboką, szlachetną subtelnością, z przejęciem i w jednolitym nastroju grał Jerzego. Wygłoszony przez niego w akcie trzecim pogański toast, należeć będzie do arcydzieł aktorskiej sztuki.

PP. Wolska, Sosnowski i Zelwerowicz wywiązali się ze swych małych ról doskonale, bez najmniejszego zarzutu.

Publiczność, zapełniająca teatr po brzegi, była przejęta pięknem utworu i artyzmem gry wykonawców.

Wystarczyły więc tym razem artystyczne siły naszego teatru na odtworzenie podniosłego dzieła.

Przekład sztuki tu i ówdzie bardzo chromy, wprost rażący. Czystości języka w przekładach czujnie zawsze strzedz powinien reżyser.

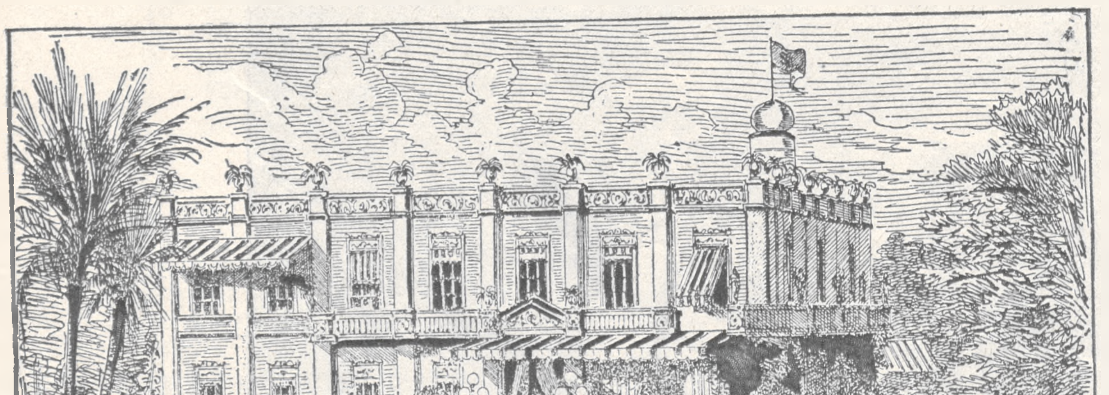
Dr. Włodzimierz Lewicki.

Zamach na cesarza Wilhelma.



Policyanci chwytają Selmę Schnapke.

Choroba Mikołaja II.



Fronton pałacu carskiego w Liwadyi.

Ks. metropolita Szeptycki.

Na ruskiej metropolii we Lwowie, na której zasiadali potomkowie bojarów ruskich, metropolici kijowscy: Atanazy Szeptycki i Leon Ludwik Szeptycki, zasiadać będzie niebawem ks. Andrzej Szeptycki, b. biskup stanisławowski, zamianowany w niedzielę dnia 18. listopada 1900 r. zwierzchnikiem ruskiej archidyecezyi w Galicyi i na Bukowinie. Wnuk wielkiego dramaturga polskiego — metropolitą! Członek hrabiowskiej, zupełnie spolszczonej rodziny — potężną gwiazdą, lśniącą na firmamencie galicyjskiej Rusi, gwiazdą, która narodowi ruskiemu ma przynieść światło wielkie i zaprowadzić go ku rozwojowi, ku powadze narodowej. Cała Ruś galicyjska skupia się dziś około tego nowego księcia Kościoła z synowską ufnością i wielkiemi nadziejami na jego żarliwą pomoc i światłe przewodnictwo dla kościoła unickiego. Niemniej i Polacy witają gorącem sercem nowego dostojnika duchownego, w którego żyłach płynie polska krew, który większą połowę życia swego spędził w atmosferze polskiej i dlatego też witamy go z wiarą, że na tak zaszczytnym a pełnym odpowiedzialności posterunku, będzie znakomitym łącznikiem obu bratnich narodów na pożytek Polski i Rusi. Kraj cały z radością widzi w nowym gr. kat. metropolicie lwowskim męża potężnych zdolności, rzadkiego zapału i miłości ludu, dyktowanej zasadami Chrystusowemi, więc tem śmielej rosną nadzieje, że ten nowy metropolita zbuduje zgodę na polu narodowościowem.

Ks. metropolita Szeptycki miał na chrzest imię: Roman — Andrzej jest imieniem zakonnem. Roman hr. Szeptycki urodził się dnia 29. lipca 1865 r. w Przyłbicach koło Przemyśla, jako syn hr. Jana Szeptyckiego, członka Izby panów i posła na Sejm, oraz hrabiny Zofii, z domu Fredrzanki, córki znakomitego dramaturga, ojca komedyi polskiej. Gimnazyalne studya ukończył hr. Roman ze znakomitymi wynikiem w gimnazyum św. Anny w Krakowie, poczem zapisał się na wydział prawniczy i jednocześnie na filozoficzny w Uniwersytecie Jagiellońskim. Z obydwóch tych gałęzi wiedzy złożył doktorat, a następnie wstąpił jako jednoroczniak do służby wojskowej w 6-tym pułku dragonów austryackich i został, nie mając jeszcze 23 lat, oficerem w rezerwie. Tytuły, odziedziczone po przodkach i zdobyte nauką, majątek, droga życiowa iście różami usłana, nie nęciły jednak młodego hrabiego — porzucił to wszystko i oblekł się w szatę zakonną, wstępując 28. kwietnia r. 1888 do krystynopolskiego zakonu OO. Bazylianów. Niebawem wyświęcony w przemyskiej katedrze na księdza, Andrzej Szeptycki ze zwyczajną sobie gorliwością kontynuował swe teologiczne studya, dopóki — co się stało wkrótce — nie zdał teologicznego doktoratu — a więc już trzeciego. Gdyby dzisiejszy metropolita nie był urodził się hrabią, to według ustaw austryackich należałby mu się za złożenie potrójnego doktoratu — tytuł barona. Lecz młody ks. Andrzej pragnął tylko jednego tytułu: niestrudzonego pracownika w winnicy Pańskiej. To też zabrał się gorąco do pracy swego nowego stanu i szybko wznosił się po szczeblach kościelnej hierarchii. Kolejno był zwierzchnikiem bazyliańskiego nowicyatu w Dobromilu, rektorem bazyliańskich misyj w Galicyi wschodniej, superiorem lwowskiego zakonu, profesorem teologii i filozofii, a w końcu od 2. lutego 1899 r. biskupem stanisławowskim.

Podczas krótkich swych rządów na stolicy biskupiej w Stanisławowie, ks. Szeptycki okazał ogromną energię obok iście kapłańskiej łagodności i wyrozumiałości; jego wizytacye stanisławowskiej dyecezyi po jej nawet najdalszych zakątkach, nawet w niedostępnych niemal górach, jakie trzeba było przebywać, po pięć i więcej mil powozem albo konno, dowiodły, że arcypasterz ten pokochał całem sercem powierzone sobie rzesze wiernych; podając światłe, gorące słowo Bożej nauki nawet całkiem opuszczonym i ciemnym warstwom wiecznych proletaryuszy wiejskich, wlewał pociechę i nadzieję w ich zgorzkniałe serca, a bezpośrednim zwierzchnikom duchownym tego ludu dał przykład, z jak delikatną i pełną miłosierdzia ręką należy przystępować do leczenia społecznych ran.

Takiego to kapłana dostaje dziś Ruś galicyjska, jako w kraju najwyższego zwierzchnika duchownego. Gloria rodu Szeptyckich, który wydał oprócz wspomnianych na wstępie dwóch metropolitów, także czterech biskupów, a to dwóch łacińskich i dwóch unickich, jako teżwielka nauka i szczere oddanie się narodowi ruskiemu, dają rękojmię, że nowy metropolita będzie naprawdę dobrym metropolitą, dlatego też szczerze cieszymy się pospołu z braćmi Rusinami z tej nominacyi, a nowemu metropolicie życzymy, aby mu Bóg pozwolił spełnić wszelkie jego szlachetne zamiary na pożytek naszego kraju.

Małżeństwo.

Szkic z rosyjskiego.

— Czy pani jest w domu? — zapytał Borys Czernin, zdejmując płaszcz pokryty śnieżnymi płatkami.

— Tak jest, proszę pana — odrzekł kamerdyner, którego poważna postawa świadczyła wymowniej o zamożności Czerninów niż luksusowe umeblowanie wykwintnego mieszkania. Twarz Czernina zachmurzyła się. Spodziewał się, że żona wyszła i że choć chwilkę pozostanie sam. Przelotnie spojrzał w olbrzymie lustro i skonstatował z przykrością, że brzydka twarz jego była blada i zmieniona. Z pewnością żona zauważy to na pierwszy rzut oka i zapyta: — Co ci się stało?

Wstrząsnął ramionami i poszedł do swego gabinetu, żeby otworzyć listy. Z salonu doszły go dźwięki oklepanej aryi operetkowej; widocznie żona nudziła się na śmierć.. Czerninowi zrobiło się dziwnie przykro. Kochał żonę, ożenił się z nią z miłości, która nie osłabła ani trochę po ślubie, a jednak w tej chwili chętnie byłby pozostał sam w swoim pokoju. Cały dzień zestawiał bilans ze swoimi spólnikami, chciał teraz odpocząć i zastanowić się nad wielu rzeczami.

Był czas, że go paliła gorączka małżeństwa. Zdawało mu się, że z tem większą energią pracować będzie nad powiększeniem majątku, żeby ukochanej i kochającej osobie rzucić do stóp stosy złota, otoczyć dzieci wszystkiemi możliwemi wygodami, mieć jakiś cel w życiu i jakiś ukochany przedmiot. A dzisiaj?... Między nim a żoną niema nic wspólnego, piękna ta jak bóstwo kobieta traktuje go obojętnie i myśli tylko o balach, rautach, przyjęciach i koncertach. Powie mu wprawdzie czasem „kocham cię“, ale jakim tonem!...

Dzisiaj, po zestawieniu bilansu, Kortew, spólnik Czernina, rzekł mu na odchodnem: — Wiesz ty co, a możebyśmy sprzedali naszą fabrykę w Twerze? Nie musiałbyś tam jeździć co tydzień i zostawiać swoją żonę samą. Zapytaj się jej, zobaczysz, że będzie zachwycona. — Cień przemknął po twarzy Czernina, bo nie miał żadnych danych do przypuszczania u żony z tego powodu szczególnego entuzyazmu. — Nie kocha mię, to jasne jak dzień — mruczał Czernin do siebie, siadając przy biurku i przeglądając mechanicznie korespondencyę. — Nie kocha mię wcale, brak u niej wszelkiej czułości i tego wylania się serca, któreby mię uszczęśliwiło. Wyszła widocznie za mnie dla majątku. Nie jestem ani piękny ani wesoły, a rozum mój i miłość moja nie przedstawiają dla niej żadnej wartości. A zresztą któż temu winien? Mieć lat czterdzieści, żenić się z osmnastoletnią dziewczyną i rachować na jej miłość toć przecie nonsens bezgraniczny! — mruczał, wykrzywiając konwulsyjnie twarz i zaciskając zęby, by nie uronić cisnącej się do oczu łzy.

Teraz zrozumiał, jak wielką była jego miłość do żony. Fortepian zamilkł, lekkie stąpanie po kobiercu wyrwało Czernina z zadumania. W progu stała piękna Aleksandra Czerninowa z cudnemi aksamitnemi oczyma.

— Ah, nie wiedziałam, żeś już tu — rzekła. — Pomyśl sobie, dzieci u Karskich zachorowały na ospę i dlatego bal odłożono!

— Tak? — odparł cichym głosem tak, że spojrzała na niego zdziwiona.

— Co ci jest? Co się stało? Wyglądasz tak dziwnie...

Czerninowi przyszła nagle szalona myśl:

— Rzeczywiście, czuję się niedobrze. Nie chciałem cię przestraszać, ale kiedy sama wyczytałaś niepokój na mojej twarzy, zbytecznem byłoby dalsze ukrywanie, kiedy i tak musisz się wkońcu dowiedzieć o wszystkiem. Widzisz, interesa moje idą źle...

— Jakto? — Popatrzyła nań błędnie szeroko rozwartemi oczyma. Czernin usunął się nieco od stołu, albowiem światło świecy padało mu prosto w twarz.

— Muszę ci wyznać, że znajduję się w trudnej sytuacyi. Postawiłem, że się tak wyrażę, wszystko na kartę, nic więc dziwnego, że jestem niespokojny!

Im dłużej mówił, tem bledszą stawała się twarz Aleksandry. — Nie pojmuję — szepnęła z wytężeniem — jak mogłeś zaryzykować wszystko?

— Bo nadarzała się okazya podwojenia naszego majątku!

— Ale naraziłeś nas na ruinę, — krzyknęła w irytacyi. — Jakiem prawem działałeś w ten sposób?

— Zawiniłem, szepnął Czernin trwożliwie. Wyraz boleści na jego twarzy był znakomicie udanym.

Ona wstrząsnęła pogardliwie ramionami i zbliżając się do niego zapytała:

— Czy rzeczywiście jesteśmy zrujnowani?

— Muszę ci wyznać, że wszystko jest stracone, jesteśmy bez środków.

— To niemożliwe! Krzyknęła, chwytając męża za ramię tak mocno, że paznogcie jej wbiły się niemal w ciało. W spojrzeniu jej było tyle gniewu i wściekłości, że Czernin mimowoli spuścił oczy.

— Tak, przez moją nieostrożność jesteśmy do szczętu zrujnowani. — I ja myślałem, dodał w duchu, że ona mię kocha! No, ale idźmy aż do końca!

— Tak jest, moja droga, nie mamy nic. Przed jakimś czasem byłbym znalazł w sobie dostateczną energię, żeby wszystko naprawić. Byłbym wytężył wszystkie siły, poruszył niebo i ziemię, by uniknąć nieszczęścia.

— No, a czemuż teraz tego nie próbujesz! Wściekłość dławiła ją; spojrzenia jej, ostre, jadowite, przeszywały go na wskroś.

— Nie, to niemożliwe. Przedtem byłem silny, teraz jestem nieudolny, bo już nie wierzę w twoją miłość. Poco mi czynić nadludzkie wysiłki, kiedy chybiłem jedyny cel mego życia?

— Aha, moja miłość! Cóż to ma do rzeczy? Sądzę, że mamy co innego na głowie! wołała Aleksndra szorstkim głosem. Wnet jednak dodała uspokajająco:

— Nie, nie, przebacz mi. Jestem tak oszołomiona, że sama niewiem co mówię. Czemuż mi nie wierzysz? Mylisz się, ja cię kocham, kocham więcej niż wszystko na świecie. Ty wszystko potrafisz twoim rozumem, ratuj mię więc, ratuj z nędzy i ze wstydu! Kocham cię... cóż mam zrobić, by cię przekonać? — Chciała rzucić się mu ua szyję, ale Czernin odepchnął ją lekko.

— Czekaj, rzekł stłumionym głosem, to jeszcze nie wszystko.

Zbliżył się do kasy, otworzył ją powoli i wyjął kilka paczek banknotów, które po kolei rzucał na stół. Aleksandra patrzyła nań zdziwiona.

— Słuchaj, rzekł patrząc jej bystro w oczy. Zawiniłem bardziej, niż przypuszczasz. Jutro idzie wszystko pod sekwestr. Tymi pieniędzmi, — jest tu blisko 50.000 rubli, mógłbym pokryć dyferencye giełdowe. Nam coprawda niepozostałaby ani kopiejka, ani jedno krzesło, na którem moglibyśmy usiąść, ale nikt nie miałby prawa atakować mojej czci. Sądzę jednak, że ty zatrzymasz tę kwotę. Radzę ci nawet, abyś jak najprędzej zabrała swoje kosztowności i wyjechała z miasta; wiesz przecie, jak teraz biorą się ostro do bankrutów. Przewiduję sceny, których nie powinna widzieć kobieta.

— Czy mam jechać do Petersburga, czy za granicę? zapytała pospiesznie Aleksandra.

Czernin z trudnością stłumił okrzyk przerażenia i wstrętu... Więc to wszystko, co ona mu miała do powiedzenia? O nim nawet nie pomyślała! W mózgu Czernina zaczęło coś wirować, serce biło mu jak młotem. Szalał poprostu z gniewu na myśl, że ta kobieta śmiała mu przed chwilką mówić o swojej miłości.

— No? zapytała, jakby się jej bardzo spieszyło z przygotowaniami do podróży.

— Nieco cierpliwości, odrzekł Czernin i zbliżając się do kasy dobył rewolweru.

Aleksandra przerażona cofnęła się raptownie w tył. Czernin parsknął śmiechem.

— Nie bój się nic, rzekł zimno i szybkim ruchem rzucił rewolwer przez okno.

— Miałem ten rewolwer zawsze blisko siebie, by sobie kiedy w łeb wypalić, gdyby mię miało spotkać nieszczęście. Teraz nie potrzebuję go już, straciłem moje iluzye, moja miłość ku tobie zmieniła się w pogardę, a i tak nie umarłem. A teraz wiedz, że moje interesa prosperują znakomicie. Chciałem cię tylko wystawić na próbę...

A kiedy ona osłupiała, chciała się mu rzucić w ramiona, on wrzasnął gniewnie:

— No, weźże sobie te pieniądze, Weź dwa, cztery razy tyle. Żądaj milionów za twoją piękność, to twoje prawo... Żądaj ich. Od takich jak ty nie bierze się nic, nie płacąc zaraz gotówką.

Nagle rozpłynął się w łzach i łkając rzucił się na krzesło, bo poczuł, że i teraz nadarmo odegrał rolę bohatera. Mimo wszystkiego kochał ją do szaleństwa i lada chwila gotów był tarzać się u jej nóg prosząc o przebaczenie... „Sunt lacrymae rerum“.

Franciszek Prešeren.

Rok obecny jest wielkiem świętem dla Słoweńców, narodu liczbą najszczuplejszego wśród plemion słowiańskich po Łużyczanach. Piątego sierpnia obchodzili uroczystość stuletniej pamiątki urodzin swego największego ojczyźniaka biskupa Antoniego Marcina Slomška (1800—1862). Trzeciego grudnia minęło sto lat, kiedy Słoweńcom zesłały nieba ich Mickiewicza.

Franciszek Prešeren, największy dotąd wieszcz słoweński, urodził się w skromnej chacie wieśniaczej w małej górnokraińskiej wiosce Prbie. W liczbie rodzeństwa był szóstym. Rodzice biedni poruczyli opiekę nad dorastającym do lat szkolnych dzieckiem, jego stryjowi. Za jego też staraniem wysłany został chłopiec po ukończenia szkoły ludowej do Lublany, gdzie ukończył gimnazyum. Życie pędził podobnie jak wszyscy, z jego stanu pochodzący, na chleb zarabiać musiał własną pracą. Los zaprowadził go w dom bogatego kupca, którego synowi pomagał Prešeren w nauce. Tu powtórzyło się zjawisko znane z życia wielu mężów sławnych; tosamo, co spotkało Mickiewicza w domu Wereszczaków.

Ubogi student zakochał się w córce bogacza. Ta ani nie myślała o wielbicielu cichym. Chłopiec poznał, jaka przepaść między nim a uwielbioną, miłości swojej ani jej nie wyznał, ani z cierpieniem serca nie zwierzył się przyjaciołom. Rozmarzony i z bólem, w piersi ukrytym opuścił Lublanę i udał się do Wiednia, gdzie zapisał się na wszechnicę. Wahając się między filozofią a prawem, wybrał wreszcie to drugie.

Pobyt w Wiedniu ważnym jest w życiu Prešerna, bo tu zaczyna on być poetą. Na tory poezyi wstępuje pod wpływem otoczenia, w jakiem się obracał. Przyjaciółmi jego z tej doby byli czeski piewca Franciszek Czelakowski i niemiecki poeta Anastazy Grün. Pierwszy był nawet przewodnikiem i nauczycielem jego poniekąd, poprawiał mu niekiedy błędy językowe. Prešeren bowiem jak wszyscy południowi słowiańscy poeci tej doby bieglejszy był w niemczyźnie i pierwsze swe utwory pisywał po niemiecku. Stopień doktora praw uzyskał w r. 1828, a w latach najbliższych wystąpił już na niwie poetycznej ze sporą garścią wierszy satyrycznych w czasopiśmie „*Čhelica*“ (Pszczoła). Aby jednak baśnictwu chwile wolne poświęcać, musiał wprzód zapewnić sobie warunki, któreby mogły na to pozwolić. Wstąpił też w służbę rządową. Posunięcia na wyższy stopień oczekiwał długo, aż zniecierpliwiony przerzucił się do kancelaryi adwokackiej.

Obok pracy na chleb rosła i praca na sławę. Imię jego jako baśnika rosło z dniem prawie każdym. Pióro Prešerna uprawiało wszelkie rodzaje poezyi. Z elegijnych wierszy wymienić należy „Prva ljubezen“ (Pierwsza miłość). Najliczniejsze są może epickie utwory, z wszystkich jednak duch wieje liryczny. Naczelne wśród nich miejsce zajmuje „*Krst pri Savici*“ do rzędu niższych należą: *Učenec, Zvjezdo gledam. Hcere svet* i inne.

Przypomniała sobie wreszcie władza, że czasby już był wynagrodzić Prešerna za jego dawną pracę urzędniczą. Pozwolono mu bronić oskarżonych. Jako adwokat osiadł już na stałe w Kranju (w górnej Krainie). Przybił wreszcie do przystani, ale owoców pracy nie danem mu było zażywać. Złamany na duchu i schorzały cieleśnie pożegnał świat ten 8 lutego roku 1849.

W słoweńskiej poezyi nie był on pierwszym, co w strunę ojczystą uderzył. Już przed nim mieli Słoweńcy wielkiego poetę, którego pomnik w znosi się w Lublanie, Vodnika. Prešeren był tylko jego, następcą a mając wzory pewne przed sobą, mógł wydoskonalić formę i język. Natchnieniem też przewyższył nie tylko swego rodaka, kto wie, czy nie jest on najwyższym ze wszystkich południowych słowiańskich baśniarzy.

Utwory swoje zebrał Prešeren w zbiorku „*Poezije doktorja Franteca Preserna*“, na krótko przed śmiercią jego wydanym. Ponowne czyli drugie wydanie zbiorowe w jednym tomie, obrazkowane, wydanie jubileuszowe przygotował L. Pintar. Dokonało go wydawnictwo Kleinmayera i Bamberga w Lublanie r. 1900. (Cena 5 kor.)

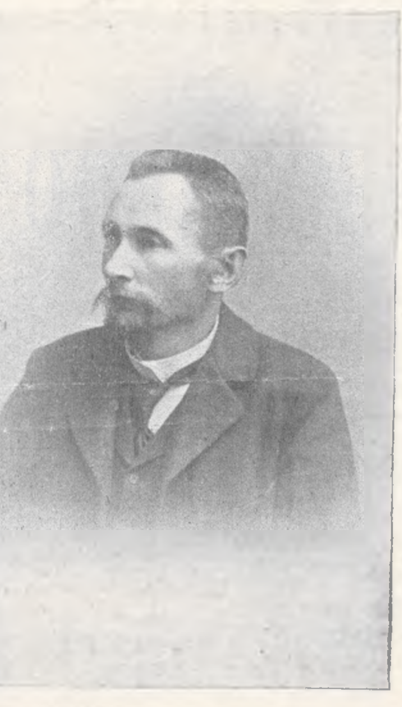
Jan Fr. Magiera.

Nasze ryciny.

Śmierć króla Humberta i zamach na szacha perskiego w Paryżu utwierdziły opinię publiczną w przekonaniu, że szajka anarchistów powzięła zamiar załatwienia się w najbliższym czasie z wszystkimi władcami Europy, a prawdziwe, czy też przesadzone relacye amerykańskiej policyi podsycają jeszcze trwożną ciekawość: „Na kogo teraz kolej?“ Czyż więc można się dziwić, że „ekstrablatty“ dzienników wiedeńskich, donoszące o zamachu na życie cesarza Wilhelma w dniu 16 listopada b. r., zostały w mgnieniu oka rozchwytane?

Według odnośnych depesz, miejscem, gdzie dokonano zamachu, był Wrocław, — a sprawcą — naturalnie anarchista, tym razem przebrany za kobietę. Dopiero późniejsze doniesienia uspokoiły opinię publiczną, przynajmniej co do natury zamachu, gdyż okazało się, że dokonała go kobieta, prawdopodobnie obłąkana, nazwiskiem Selma Schnapke, w chwili, gdy cesarz, udając się do koszar kirasyerów w Kleinburg, przejeżdżał koło ogrodu miejskiego, przy ulicy Teichstrasse. Siekiera, rzucona jej dłonią, odbiła się szczęśliwym trafem o szprychy koła powozowego i upadła na ziemię, nie wyrządziwszy cesarzowi żadnej szkody. W jednej chwili Schnapke była w ręku nadbiegających policyantów, a cesarz, zbladłszy jak ściana, przechylił się w tył powozu i pojechał dalej. Moment dokonania zamachu jest oddany na dwóch rycinach, zamieszczonych w dzisiejszym numerze. Na policyi sprawczyni zamachu robiła wrażenie obłąkanej. Sprawdzono, iż jest przekupką, mieszkającą w okolicy Wrocławia,

Kandydat narodowy na IV. kuryę krakowską.



Jan Wojtyga, nauczyciel w Pólwsiu zwierzyniec., kandydat na posła z IV. kuryi krakowskiej.

i liczy lat 41. Według jej opowiadania, miano ją wyrzucić z mieszkania, bo nie miała za co opłacać czynszu, a nadto wytoczono jej proces karny, z powodu że przy wynoszeniu jej rzeczy obraziła urzędnika, obecnego przy eksmisyi. Wobec zbiegu tylu nieszczęśliwych okoliczności postanowiła zamordować cesarza (??) i byłaby tego dokonała, gdyby nie książę Meiningeński, siedzący z cesarzem w powozie. Widok jego przeszkodził jej w dobrem mierzeniu (!). Z tych zeznań widać, iż Schnapke nie posiada wszystkich pięciu klepek w należytym porządku, niemniej przeto ostra siekiera, choćby nawet rzucona ręką obłąkanej, mogłaby w danym razie spełnić swe ohydne zadanie. Nie doszło jednak do tego, a parę mówek, wypowiedzianych od tego czasu przez cesarza Wilhelma, świadczą dowodnie o tem, iż stan jego zdrowia jest taki sam po zamachu, jakim był przed nim. Smućcie się, buntownicy chińscy!

Skoro już mowa o zdrowiu panujących, miło nam donieść czytelnikom, iż choroba, której uległ car, zdaje się zbliżać do pomyślnego kresu. Osłabienie jest wprawdzie bardzo znaczne, czego dowodem niska temperatura i wolne tętno, ale urzędowe biuletyny głoszą stanowcze polepszenie. Wobec tego należy się spodziewać, iż wkrótce car Mikołaj II opuści swój pałac w Liwadyi (patrz rycinę), celem udania się do wód na dokończenie kuracyi.

Już to trzeba przyznać, że Chińczycy są mistrzami w dyplomatycznych rokowaniach i gdzie chodzi o zwłokę, wyjednanie zawieszenia broni, lub zamydlenie oczu Europejczykom, tam nikt ich przejść nie zdoła. To też układy, prowadzone przez państwa europejskie z Chinami, przewlekają się w nieskończoność i trudno przewidzieć, kiedy nadejdzie ich koniec, zwłaszcza, że „państwo środka“ zastępuje taki majster od krętactwa, jak Li-hung-czang, wespół z wyobrażonym na naszej rycinie księciem Czingiem. Ten drugi pochodzi z cesarskiego rodu, więc poddani muszą padać przed nim na twarz.

Podczas gdy dyplomaci usiłują wywieść się nawzajem w pole, żołnierzom europejskim nie są w głowie żadne układy. Walka toczy się dalej, przerywana od czasu do czasu wizytą parlamentarza, proszącego o zawieszenie broni. Taką chwilę widzimy na jednej z dzisiejszych rycin. Parlamentarz chiński wchodzi do obozu wojsk mocarstwowych, prowadzony za warkocz przez Moskala; oczy ma zawiązane, aby nie mógł podpatrzeć słabych stron pozycyi nieprzyjacielskiej.

Z portretów zamieszczamy dzisiaj wizerunek ks. Szeptyckiego, nowomianowanego metropolity lwowskiej dyecezyi (patrz rysunek), — oraz Franciszka Ptaka, gospodarza z Bieńczyc, kandydata partyi narodowo-antysemickiej na V kuryę krakowską. W jednym z poprzednich numerów oglądali już czytelnicy dziarską i sympatyczną postać tego typowego polskiego chłopa; na dzisiejszej rycinie uwydatnia się jeszcze lepiej wspaniała jego postawa, oraz inteligentny wyraz twarzy. W razie dostania się do parlamentu, na co się, mówiąc nawiasem, wielce zanosi, Ptak stałby się z pewnością jedną z najbardziej typowych postaci w wiedeńskiej Izbie posłów.

Prócz tego zamieszczamy dziś powtórnie fotografię p. Wojtygi kandydata partyi narodowo-antysemickiej na IV kuryę krakowską, gdyż poprzednim razem zaszła omyłka w imieniu kandydata, ochrzczonego mylnie Franciszkiem, podczas gdy właściwe imię jego jest; Jan.

Listy z linii A-B.

VI.

Ja — katolicko-narodowych bandy
Że socyałami wspólność cech znachodzę,
Bo gdy do czynnej przyszło „propagandy“
Alias: rozboju na spokojnej drodze
Ta „propaganda“ — widzę wspólna matka
Tak socyalistów jak drabów Szkaradka.

Obiera wprawdzie nieraz drogi różne
Tam sztylet — tutaj znowu kult jest pięści —
Tu — swym funduszem zwą pańską jałmużnę,
Tam zaś — biednego ludu grosz najczęściej.
Pierwszym należną zapłatą jest — stryczek
Drugim — kopnięcie, bat albo policzek.

Bo nie rozchodzi się tutaj nareszcie
O Starzeńskiego, Goetza lub nie Goetza
Ani o alarm chwilowy na mieście,
Gdzie pożądana bywa każda „heca“;
Tutaj jest walka — jak każdy wie o tem
Ładu, porządku — z społecznym przewrotem.

Bój donioślejszy od boju oręży
Od ryku armat i strzałów poświstań,
Ten wyjdzie z niego cało i zwycięży
I łódź bezpiecznie zaprowadzi w przystań
Kogo do boju hasło wiary wiodło.
Czyj sztandar — krzyża i miłości godło.

Że tego pojąć nie jest w stanie fagas,
Co się ochłapem z stołu pana żywi,
Że nie uznaje tej prawdy „Rabagas“
Nikogo chyba ten fakt nie zadziwi.
Podobnie światło i kolorów przepych
Nie ma żadnego wrażenia na ślepych.

Błogosławiony Galilejski kraju!
Tobie świat nadał przydomek „Pół-Azyi“
Kraju katastrof różnego rodzaju
Wyśnionych chyba w najśmielszej fantazyi
Gdzie nawet zwykłej piwnicy budowa
To nowa klęska — katastrofa nowa!

Jest tani węgiel dla ludności biednej
I tani teatr będzie wnet miał Kraków,
Lecz zapomniano bagatelki jednej:
Jak zabezpiecza się życie biedaków,
Którzy przy pracy — i nie z swoją winą
Na rusztowaniu lub wśród gruzów giną?

Lecz myśleć o tem — brak czasu opinii.
Cóż, że robotnik miał jakiś przypadek?
Ważniejsze kwestye teraz w pierwszej linii:
Czy zgromadzenie zwoła pan Szkaradek,
Czy się Daszyński, pod rządu opieką
Z ministeryalną spotka kiedy teką?...

Mnie wszystko cieszy, co swojskie, co nasze,
To nasze bujne błoto na ulicy
I zawaleniem grożące poddasze
I pięść socyała i kult dla jupicy
Pod którą znajdą, ci co się doń garną
Sympatyę władzy i wolność bezkarną.

Amaris.

NADESŁANE.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**